Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 273 (Rok XV, Nr 13) 1 lipca 1955 Cena (Price) 1/6

UZBROJONE I NEUTRALNE?

TAK zwana odwilż w zimnej wojnie wygląda równie niepewnie, jak „odwilż" w literaturze sowieckiej. Marzenie wszystkich ugodowców świata: spotkanie na najwyższym szczeblu dochodzi do skutku, ale nie budzi entuzjazmu dawnych zwolenników. Spotkanie takie przed paru laty miałoby bardzo określony sens: rozmowy samowładcy wschodniej połowy świata Stalina z szefami rządów mocarstw zachodnich. Spotkanie takie mogłoby się zakończyć dla Zachodu równie katastrofalnie, jak spotkania w Teheranie i Jałcie, ale miałoby wyraźne znaczenie, różne od spotkań dyplomatów. Dziś przyjedzie Bułganin. Ale na ile przywiązywać wagę do słów Bułganina? Ile Bułganin może powiedzieć? Czy mówi w imieniu Chin? Czy w imieniu całych Sowietów? Kto wie czy Bułganin nie reprezentuje Sowietów tylko w tym stopniu, jak Faure reprezentuje Francję, to znaczy „hic et nunc" jak mawiali starzy dyplomaci. I w ogóle jaka jest zasadnicza różnica między takim spotkaniem, a spotkaniem dyplomatów?

W tej ogólnej niepewności jedna rzecz tylko jest dotąd pewna, a mianowicie zmiana pozycji Niemiec.

Adenauer nie spieszy się z przyjęciem zaproszenia sowieckiego do Moskwy, przeciwnie, pojechał do Waszyngtonu i deklaruje mocno swą pełną lojalność dla bloku zachodniego. Jego cała przeszłość wskazuje, że robi to szczerze. Ale gdyby nawet nie był szczery czy też gdyby na jego miejscu był kto inny, musiałby robić to samo. Dla kanclerza Niemiec rozmowy z Sowietami będą miały sens, gdy Niemcy będą uzbrojone. Stalin pytał kiedyś cynicznie ile papież ma dywizji. Kanclerz niemiecki tym poważniej będzie traktowany na Kremlu im więcej będzie miał dywizji. Gdyby Niemcy teraz zaczęły rozmowy o neutralności za cenę zjednoczenia, nie osiągnęłyby neutralności, lecz bezbronność i perspektywę nowej czy nowych okupacji. Aby być neutralnym, trzeba mieć cośkolwiek na obronę neutralności. Toteż interes nakazuje Niemcom najpierw uzbroić się jako tako w przymierzu z Zachodem, a potem próbować neutralności.

Propozycja sowiecka, aby Niemcy najpierw zerwały z sojuszem zachodnim, a potem przystąpiły do tworzenia własnych sił zbrojnych za zgodą mocarstw jest oczywiście niewykonalna, dopóki jedynymi siłami zbrojnymi w Niemczech są oddziały państw zachodnich.

Kanclerz Adenauer był przyjmowany w Stanach Zjednoczonych entuzjastycznie. Wywołało to niezadowolenie nie tylko we Francji, ale i w Anglii. Jeden z dzienników angielskich napisał, że jedynym rezultatem polityki amerykańskiej wobec Niemiec jest to, że będą one uzbrojone i neutralne.

Przy okazji pobytu w Ameryce Adenauer powiedział rzecz, która nas bezpośrednio obchodzi. Stwierdził mianowicie, że o sprawie granicy na Odrze i Nysie pragnie rozmawiać tylko z przyszłym wolnym państwem polskim, żeby Niemcy mogli powrócić do swojej ojczyzny na wschodzie. Oświadczenie to skierowane było przede wszystkim do Amerykanów. Oznaczało, że nie będzie szukał porozumienia z Sowietami obecnie nawet za cenę rewizji granicy polsko-niemieckiej. Ale miało ono i drugi cel: przypomnienie już obecnie i przypominanie przy każdej okazji, że Niemcy nie pogodziły się z utratą ziem za Odrą.

To nakłada na emigrację polską obowiązek stałego przypominania wszystkim społeczeństwom i rządom zachodnim, że naród polski jest całkowicie jednolity w woli utrzymania tej granicy i że nie pogodzi się z żadnymi próbami odbierania mu tych ziem.

CZY JESTEŚ W PORZĄDKU Z PRENUMERATĄ?

ZNACZENIE WYDARZEŃ ARGENTYŃSKICH

Ostatnie wydarzenia w Argentynie wykraczają swoim znaczeniem poza tradycyjne południowo - amerykańskie zaburzenia rewolucyjne, mimo iż miały wiele cech zewnętrznych takiej właśnie południowo-amerykańskiej burzy.

Przede wszystkim należy zdać sobie sprawę ze zmian, jakie przechodzi Ameryka Południowa. Z kontynentu puszcz i prerii, eksportującego mięso i dziki kauczuk, staje się kontynentem wielkich miast przemysłowych. Buenos Aires z nowymi przedmieściami liczy blisko cztery miliony ludności, niewiele ustępując Paryżowi. W ostatnich kilkunastu latach, za rządów Perona nastąpiły olbrzymie przesunięcia ludności ze wsi (o ile można mówić o wsi w Argentynie) do miast, a przede wszystkim do stolicy. Są to przeważnie metysi, dawni peoni. Na nich właśnie, na tej płynnej i najmniej europejskiej części ludności, usiłował oprzeć swój rząd Peron. Dla nich wymyślony został oficjalny kult „świętej" Ewity i system olbrzymich masówek z dziwną mieszaniną demagogii faszystowskiej i bolszewickiej pod hasłem

„justiciarismo", czyli „sprawiedliwościowości".

Każda dyktatura ma tendencję do walki z niezależnymi od siebie siłami społecznymi i organizacyjnymi, a także przerzucania na nie odpowiedzialności za własne błędy. Argentyna, w związku właśnie z przesunięciami ludności i polityką „mocarstwową" od lat cierpi na kryzys rolny. Najstarszą i największą zorganizowaną siłą jest tam Kościół katolicki. Nie brakło jednak w Argentynie i tradycji jakobińskich reprezentowanych przez loże masońskie odłamu Wielkiego Wschodu. Przy Peronie skupili się ludzie najrozmaitszego pochodzenia ideowego, od hitlerowców i faszystów po wyraźnie komunizujących. Czy w jego decyzji przeprowadzenia rozdziału Kościoła od państwa i zniesienia nauki religii w szkołach odegrały jakąś rolę loże Grand Orientu można się tylko domyślać.

Już dziś widać, że z punktu widzenia Perona był to błąd. Konflikt z Kościołem dał hasło do wybuchu niezależnie i od dawna dojrzewającego konfliktu z marynarką i lotnictwem. Zamach wojskowy się nie udał i fizycznie Peron opanował całkowicie sytuację. Inaczej jednak wypadł psychiczny konflikt z katolicyzmem. Ekskomunika rządu po aresztowaniu dostojników kościelnych musiała bardzo poderwać jego autorytet. Natychmiast niemal po stłumieniu rewolty wojskowej Peron zarządzić musiał zwolnienie aresztowanych księży i cofnięcie najdrastyczniejszych zarządzeń policyjnych.

W chwili kiedy to piszemy, sytuacja jeszcze nie jest wcale wyklarowana. Zapewne nie należy liczyć na szybkie jej wyjaśnienie. Wielkim przemianom społeczno-gospodarczym i demograficznym Argentyny towarzyszy stary konflikt rasowy i walka o charakter kultury. Wynik walki w obronie Kościoła w Argentynie może odegrać bardzo ważną rolę dla przyszłości całej Południowej Ameryki, szarpanej w tej chwili podskórnymi, ale bardzo potężnymi sprzecznymi prądami.

MANEWRY

Sowiety nigdy nie powiedziały oficjalnie, że chcą powstania pasa neutralnego w Europie — Sowiety tylko dały do zrozumienia, że mogłoby im to odpowiadać.

Zachód nigdy nie odpowiedział oficjalnie, że przyjąłby neutralizację, gdyby Sowiety jednocześnie opuściły wszystkie państwa podbite Europy środkowej (teza amerykańska) czy też co najmniej Polskę i Czechosłowację (teza angielska). Zachód za to dał prywatnie do zrozumienia, że mógłby podobne stanowisko zająć w dyskusjach.

Oficjalny punkt widzenia Zachodu jest taki, że konferencja czterech powinna omówić listę problemów do dyskusji dla ministrów spraw zagranicznych, przy czym sprawy Niemiec, Europy środkowej i ewentualnie Dalekiego Wschodu mogą być poruszone.

Również Mołotow wystąpił w San Francisco z oficjalną listą żądań, dalej przez Sowiety podtrzymywanych. Są to: wycofanie większości wojsk okupacyjnych z podzielonych Niemiec, przyjęcie Chin komunistycznych do ONZ i oddanie im Formozy, likwidacja baz amerykańskich w Europie, Azji i Afryce, zakaz broni atomowych i wodorowych. Do tej listy starych sloganów Mołotow dorzucił propozycję zwołania w r. 1956 światowej konferencji w sprawie ożywienia handlu między Wschodem i Zachodem, a o dzień wcześniej zgodził się na przyjęcie sześciu nowych członków, po trzech z każdej strony.

W ten sposób konferencja czterech jeszcze się nie zaczęła, a już znajduje się w ślepej uliczce.

Sowiety wysuwają tyle niemożliwych żądań, by mieć wygodne stanowisko w rokowaniach. Jeśli się zgodzą na wycofanie któregokolwiek punktu z programu Mołotowa, to będą chcieli otrzymać za to istotną zapłatę. Jest to powtórzenie dawnej taktyki, w myśl której bolszewicy zawsze sprzedawali puste słowa za duże wartości realne. Kreml będzie się grzecznie zachowywać, a wy, panowie, macie za to zapłacić — oto motto polityki sowieckiej.

Zasadniczym życzeniem Sowietów jest utrzymanie obecnego porządku, czyli zachowanie zdobyczy i prawa do przygotowywania następnych.

Czuje się to nawet w deklaracji podpisanej przez Nehru i Bułganina w Moskwie. Sowiety i Indie obiecują sobie w niej wzajemnie nie wtrącać się do spraw wewnętrznych kontrahenta. Ale Indie nie mają partii „kongresowej" w Sowietach, jest natomiast komunistyczna w Indiach.

Przewidzieć granice sowieckiego „nie mieszania się" jest dość łatwo. Gdy bowiem Dulles wysunął sprawę wyrzeczenia się przez rząd sowiecki „międzynarodowego komunizmu", Moskwa natychmiast odpowiedziała okrzykami skasowania „międzynarodowego kapitalizmu". Jest to oczywiście głupstwo, gdyż komuniści poza granicami Sowietów są wyraźnym ramieniem Moskwy, a podobnego ramienia Zachód nie ma w Sowietach, bo mityczni kapitaliści tam nie istnieją. Wskazuje to jednak, co oznacza dobra wola sowiecka i na ile można na nią liczyć.

Wszystkie dotychczasowe manewry mówią więc, że odprężenie znaczy po sowiecku — pozostawienie Kremlowi wolnej ręki na wewnątrz i na zewnątrz oraz skrępowanie rąk Zachodu. Nie widać, jak takie stanowisko ma doprowadzić do jakichkolwiek wyników na konferencji czterech.

NEHRU

Tłumaczy się często dziwne reakcje indyjskiego premiera Nehru atmosferą specjalnego idealizmu, która miała otaczać walkę Hindusów przeciw panowaniu państw kolonialnych. Może atmosferę taką odczuwał Mahatma Ghandi, ale z Nehru sprawa wydaje się nie taka prosta. Jego wystąpienia w Sowietach są nie tylko zaprzeczeniem wszelkiego idealizmu, lecz także wyrzeczeniem zasad, które sam przedtem ogłaszał.

Nehru zwiedził główne ośrodki siły sowieckiej, wielkie fabryki i elektrownie. Skoro już się zdecydował na wizytę „dobrej woli" w Sowietach, to jasne było, że pojedzie do Swierdłowska i Magnitogorska — chciał bowiem widzieć. Te jednak materialne zainteresowania poprowadziły go o wiele dalej.

Stwierdził on w przemówieniach i deklaracjach, że oba państwa służą tej samej zasadzie: poszanowania cudzej całości terytorialnej i dążenia do pokoju. Nehru dodał przemawiając w Moskwie, że „podbój jest zjawiskiem odpychającym", a w dwa dni potem poleciał do Warszawy.

Podpisując deklarację o nienaruszalności granic Sowietów Nehru podpisał zgodę Indii na śmierć ludów azjatyckich znajdujących się pod panowaniem sowieckim. Uczynił to po konferencji w Bandoengu i po szumnych słowach o zwalczaniu kolonializmu. Jednym pociągnięciem połączył azjatycki premier deklarację o zasadach z zaprzeczeniem własnych zasad.

Nikt nie może domagać się od premiera Indii, by prowadził wojnę o wolność ludów Azji centralnej, chociaż im właśnie Indie zawdzięczają trzy wieki świetności monarchii Mogołów w Delhi. Ciekawe jest jednak, że ten sam Nehru, który uważa Cziang Kai-szeka i Syngmana Rhee za marionetki Ameryki, nie uważa uzbeckiego Raszydowa czy tadżyckiego Saryjewa za marionetki Sowietów. Jest interesujące, że ten sam człowiek mówi tak wiele o wolności Azjatów od wpływów Ameryki, nie broni zaś tych samych Azjatów przed panowaniem sowieckim.

Jeszcze bardziej charakterystycznie wygląda wizyta w Polsce, jaką Nehru złożył po opuszczeniu Moskwy.

Nehru bowiem nie chciał złożyć wizyt ani na Formozie, ani w południo-

wym Wietnamie podczas swej przeszłorocznej pielgrzymki do Pekinu. Kraje te traktował jako kolonie francuskie czy amerykańskie. Amerykańskie misje wojskowe w Sajgonie czy Taipeh były symbolami imperializmu, nie widać jednak, by tę samą zasadę stosował do Rokossowskiego i jego rosyjskich generałów.

Można by powiedzieć, że Nehru nie zna się na polityce europejskiej. Na pewno się nie zna, ale interweniuje w sprawy Europy. Ale czyni to nie w imię zasad, lecz jako szef rządu państwa o kilkuset milionowej ludności. Interwencje europejskie Nehru na ogół daleko nie odbiegły od linii sowieckiej. Nehru przychylnie wyraził się o moskiewskim planie zbiorowego bezpieczeństwa, ostatnio silnie nawet pochwalił sowieckie propozycje rozbrojeniowe.

Trzeba oddać mu sprawiedliwość, że podczas wizyty w Sowietach nie chwalił sowieckiego systemu rządów i pochwały rezerwował dla „ludu sowieckiego". Lecz suma tego, co wypowiedział na cześć sowieckiej polityki zagranicznej i sens podpisanych dokumentów wskazują, że idealizm azjatyckich wolnościowców wcale nie ustępuje cynizmowi imperialistów, kto wie nawet czy nie jest gorszy.

ZGON METROPOLITY WILEŃSKIEGO

Dnia 19 czerwca zmarł w Białymstoku arcybiskup metropolita wileński ks. Romuald Jałbrzykowski, urodzony w r. 1876, a zasiadający na stolicy wileńskiej od r. 1926.

Metropolia wileńska składa się z archidiecezji wileńskiej oraz diecezji łomżyńskiej i pińskiej. Na zachód od kordonu z r. 1945 pozostała w całości diecezja łomżyńska. Z archidiecezji wileńskiej znalazła się na zachód od tej linii tylko Białostocczyzna, a z pińskiej zaledwie kilka gmin między Bielskiem Podlaskim a Białowieżą. Arcybiskup wileński osiadł w Białymstoku, którego fara została prokatedrą, zaś wikariusz kapitulny piński (ks. bp Bukraba nie żyje) przebywa w pobliskim Bielsku Podlaskim.

W osobie arcybiskupa Jałbrzykowskiego odszedł ostatni pozostający na wolności, choć na małym tylko skrawku swej jurysdykcji i choć od lat chory, metropolita polski. Wszystkie sześć metropolii polskich (pięć obrządku łacińskiego i jedna słowiańskiego) jest osieroconych. Odszedł także ostatni z ordynariuszy ziem wschodnich nie będących w więzieniu.

Przypomnienie tych faktów uzmysławia lepiej niż długie wywody, jak potwornym fałszem jest propaganda tzw. katolików reżimowych o rzekomej możliwości rozwoju Kościoła pod rządami komunistycznymi.

DYSCYPLINA

W Wielkiej Brytanii, podobnie jak w kilku innych krajach europejskich, toczy się szeroka dyskusja o strajkach, które wybuchają w zachodniej Europie periodycznie, nie przynosząc korzyści robotnikom, zadając zaś straty gospodarkom narodowym własnych krajów.

W Wielkiej Brytanii zagadnienie stało się palące. W ciągu paru miesięcy tego roku na wyspie przez sześć tygodni nie było gazet, przez trzy tygodnie blisko stały koleje, przez miesiąc paraliż objął kilka wielkich portów. Część strajków była dzika, odbywały się one bez zgody przywódców związkowych, część kierowała się mniej przeciw pracodawcom, lecz bardziej przeciw samym związkom lub wynikła też na tle konkurencji między różnymi związkami.

Rozwój przemysłu w nowożytności doprowadził do uznania słusznej zasady, że pracownik ma takie same prawo do targowania się o cenę swych usług, jak pracodawca o cenę sprzedawanego towaru. Podobnie jak kupiec może podnieść ceny, jeśli obiektywne warunki go usprawiedliwiają, tak i robotnik ma prawo domagać się większej zapłaty za pracę, dotąd wykonywaną taniej. Jest również uznanym prawem pracowników, że mogą wycofać swe usługi, czyli strajkować dla poparcia swych żądań ekonomicznych.

Praktyczne stosowanie tych wszystkich słusznych zasad bywa bardzo skomplikowane w życiu.

Trudność z jednej strony polega na tym, że mimo wszystko pracodawcy są ekonomicznie silniejsi bez względu na to czy reprezentują interesy prywatne, czy państwowe. Stąd też mają oni zwykle tendencje do niedoceniania słusznych żądań pracowników, jeśli nie czują zdenerwowania tychże pracowników.

Z drugiej strony brak jest wśród pracowników przekonania, że są oni odpowiedzialni za całość gospodarki narodowej i że straty wynikające z pochopnej decyzji strajkowej mogą zaciążyć na nich samych, innych grupach pracowników i całym państwie. Stąd nasuwa się konieczność dokładniejszego określenia sprawiedliwych i niesprawiedliwych lub regularnych i nieregularnych strajków oraz stworzenia skutecznej maszynerii załatwiania konfliktów społecznych.

Dodatkowym elementem jest rola komunistów w strajkach zachodnioeuropejskich. Przecież publiczną jest tajemnicą, że zakamuflowane organizacje komunistyczne popychają wiele związków czy grup robotniczych do strajku nawet wtedy, kiedy sprawa może być załatwiona na drodze zwykłych rokowań. Motywem działalności komunistów jest chęć rozkładu gospodarstwa państw swobodnego świata i przyspieszenia przez to oczekiwanego przez nich „kryzysu kapitalizmu".

Nic więc dziwnego, że zarówno paryska „Humanité" jak i londyński „Daily Worker" oburzają się na każdą próbę znalezienia długotrwałego rozwiązania sprawy rozstrzygania konfliktów między robotnikami i pracodawcami. „Humanité" niedawno skarciła mniejszość kongresu CGT za próbę programu współżycia z systemem kapitalistycznym, „Daily Worker" zaś wystąpił oburzony przeciw „dążeniom do pozbawienia robotników prawa do strajku", które zauważył u przywódców związków zawodowych, ostrzegających przed nieprzemyślanym wszczynaniem strajków.

Tymczasem za żelazną kurtyną strajki są zakazane i surowo karane. Nowe zarządzenia o dyscyplinie pracy wydane przez administrację Cyrankiewicza w Polsce mówią, że robotnik będzie ścigany karnie za trzy nieusprawiedliwione nieobecności w pracy na przestrzeni kwartału. (Dekret z r. 1950 przewidywał trzy nieusprawiedliwione nieobecności w ciągu roku).

KOŁCHOZY, KOŁCHOZY...

Pierwsze słowo wypowiedział A. Hegedüs na Węgrzech, a przez Bułgarię i Albanię kolej przyszła i na Bieruta. Zgodnie z nowymi dyrektywami Chruszczowa następne pięciolecie będzie okresem znacznego wzrostu liczby kołchozów.

Na starą stalinowską drogę pierwsze wróciły Węgry. Podczas dyskusji na plenarnym posiedzeniu KC węgierskiej kompartii rzucono hasło objęcia przez gospodarkę socjalistyczną prawie całej powierzchni uprawnej w terminie do r. 1960.

Bierut dotąd nie poszedł tak daleko w swych oświadczeniach. Stary lis, świadomy niebezpieczeństw związanych z podobnym stawianiem sprawy, ominął wszystko, co mogłoby wywołać zbyt wielkie zadrażnienia wśród chłopów. Niemniej wystąpienie jego z 19 czerwca na zjeździe kołchoźników we Wrocławiu nie pozostawia wątpliwości. „Nie ma innej drogi, prócz drogi socjalizmu na wsi", brzmiało jego orzeczenie. W kąt poszły niedawne jeszcze wzmianki o „indywidualnych chłopach pracujących", w kąt rzucił pierwszy sekretarz KC PZPR hasło o „pomocy państwa dla chłopów indywidualnych podnoszących produkcję z

hektara" — w programie zostały tylko kołchozy, których rozwój „ma wyjątkowe, ba, wyłączne znaczenie".

Bierut zasłaniał się faktem, że Polska ma za mało żywności, że musi importować zboże. To skłania go do przekonania, że w systemie gospodarki kolektywnej nastąpi poprawa. Bierut twierdził, że przejście od przedwojennej eksportowej nadwyżki zboża, do obecnego importowego deficytu jest skutkiem rosnących potrzeb. Jego zdaniem przedwojenny eksport był możliwy dlatego, że ludność kraju głodowała.

Jest to argument nieprawdziwy. Ludność Polski miała za mało mięsa i cukru, ale prawdziwy nadmiar zboża i chleba. To, że dziś chleba brak wywołane jest skutkami polityki reżimu, a nie zwykłym wzrostem konsumpcji.

Sam Bierut nie upierał się bardzo przy swych argumentach gospodarczych. Rzeczą główną jest, jego zdaniem, że gospodarka „spółdzielcza wychowuje nowy typ człowieka". Dlatego pragnie ją wszędzie wprowadzić.

Tego „nowego człowieka" na wsi jakoś ciągle nie widać, a stary człowiek walczy nadal uparcie o swoją wolność.

Niecałe dwa miesiące temu, gazety reżimowe opisywały nowych spółdzielców w Rzeszowskim i z przerażeniem stwierdzały, że znaczna ich część to chłopi, których zrujnowano kontyngentami lub podatkami. Pozbawieni inwentarza i onieśmieleni, chcą oni schować się w kołchozie, gdzie na razie nie grozi im prześladowanie przez system.

Ci przymusowi kołchoźnicy wcale nie dbają o kołchozy. Bierut powiedział we Wrocławiu, że „działki przyzagrodowe stale rosną w spółdzielniach", a wielu spółdzielców więcej dba o własną ziemię niż o kołchoz. Nie oddają oni bydła do wspólnej gospodarki i w ogóle mało sobie robią z reżimowego socjalizmu na wsi.

Pomimo to akcja kolektywizacyjna ma iść dalej. Wystąpienie Bieruta, jego twierdzenie, że droga kołchoźna jest „jedyna", wskazuje na zbliżającą się nową falę prześladowania polskich chłopów.

STYL

Tegoroczne egzaminy maturalne w kraju dostarczyły takich kwiatków, że nawet prasa komunistyczna zaczęła wołać na alarm. To bowiem, co się dzieje jest m.i. winą tej właśnie prasy.

„Trybuna Ludu" donosi, że liczba błędów ortograficznych w pracach pisemnych maturzystów zmniejszyła się w porównaniu z rokiem ubiegłym. Tym niemniej w pracach spotyka się takie cuda jak: rządać, dojżewać i kszywda. Prócz tego oczywistego nieuctwa kwitnie styl komunistyczny.

Autorka korespondencji na ten temat wybrała następujące zdanie z pracy maturalnej o Mickiewiczu:

„Wielką zasługą Mickiewicza jest to, że do utworów swoich wprowadził demokratyzację języka. Znaczenie poety dla rozwoju polskiego romantyzmu było niemniej przodujące, aniżeli wartości artyzmu poety. Mickiewicz pisze „Skład zasad" o mocno postępowych i radykalnych liniach. W osobie Jacka Soplicy poeta wcielił podstawowe zagadnienia epoki. Widzimy, że Mickiewicz w każdej chwili trzymał puls na najważniejszych sprawach narodowych".

Podobno styl tego typu nie jest czymś nadzwyczajnym i wyjątkowym — powtarza się dość często i nawet komunistyczni poloniści nie mogą czytać takich okropności.

Ale winę za to zanieczyszczenie naszego języka ponosi przede wszystkim partia komunistyczna, jej pisarze, głównie dziennikarze. To w politycznym żargonie utarły się zwroty tego typu, jak „przodujące znaczenie", „podstawowe zagadnienia epoki". To komuniści piszą „demokratyzacja" w odniesieniu do każdej możliwej sprawy, tak że słowo samo zaczyna tracić wyraźną treść. To komuniści posługują się wyrażeniem „linia" zamiast „kierunek" i czynią to tak często, że biedny młody członek komunistycznego ZMP może stracić głowę.

Nic dziwnego, że w skutkach maturzyści zaczynają „trzymać puls na sprawach" i nikt już nie może się zorientować o co im chodzi.

Z. ABDANK PRZEMIANY ROSYJSKIE 1)

WIELONARODOWE I WIELOKLASOWE PAŃSTWO

BOLSZEWIZM światowy wszedł po śmierci Stalina w nową niebezpieczną dla siebie fazę. Wyznaczają ją dwa zjawiska: ogromne terytorialne powiększenie jego zasięgu i ujawnienie nierozwiązanego pomimo upływu lat 36 problemu rolnego, zagadnienia wyżywienia. Oba te zjawiska istniejące już poprzednio, opanowane były przez bizantyjski autorytet Stalina, przed którym cofały się zarówno ambicje Mao Tse, jak i rozczarowanie i niezadowolenie partyjników i mas ludzkich w imperium sowieckim.

Dlatego dopiero po śmierci Stalina wyłaniają się stopniowo przepaści, nad które wciągnęła setki milionów ludzi rewolucja październikowa w Rosji.

Mamy tu do czynienia z dwoma odrębnymi kompleksami zagadnień wymagającymi omówienia. Z jednej strony narasta konflikt między interesami narodowymi Rosjan, a rosnącą rzeszą innych narodów w Europie i Azji; z drugiej pogłębia się otchłań między moskiewską doktryną, a życiem, przed którym na próżno usiłuje zdać egzamin.

PROBLEM NARODOWOŚCI

Wiadomo, że roszczenia Kremla do reprezentowania i urzeczywistniania doktryny socjalistycznej kwestionowane są bardzo kategorycznie przez wyznawców Marxa zarówno w interpretacji tak zwanego naukowego socjalizmu, jak i tak zwanego rewolucyjnego socjalizmu. Istniała więc i istnieje nadal obok III międzynarodówki moskiewskiej, II międzynarodówka socjalistyczna i IV nazywana od swego twórcy, trockistowską. Obie negują autentyczność socjalizmu moskiewskiego, obie podkreślają różnice między marksizmem i bolszewizmem, z tym że socjaliści odrzucili już tezy Lenina, a trockiści mówią o zdradzonej przez Stalina rewolucji. Na te talmudyczne spory nie mamy tu miejsca. Rewolucja październikowa interesuje nas w tej chwili jedynie z punktu widzenia zmian jakie wprowadziła w Rosji, jej osiągnięć politycznych i społecznych.

Przyjęto powszechnie, że Rosję carską rozkładały trzy główne choroby: 1) ruchy odśrodkowe narodów ujarzmionych, w których polski odgrywał rolę zapalnika, 2) masowe bezrobocie i równie masowa nędza milionowych mas chłopskich nie wciągniętych w procesy produkcyjne głównie wskutek prymitywnego ustroju i metod rolnictwa, 3) fatalne zacofanie transportu uniemożliwiające rozdział dóbr już istniejących oraz racjonalne i dostateczne ich wytwarzanie. Przemysł i kopalnictwo rosyjskie głównie z tego powodu były w powijakach.

Przyjrzyjmy się zmianom jakie istotnie zaszły w Rosji na przestrzeni ostatnich dziesiątków lat w tych trzech zagadnieniach.

Przede wszystkim z powodu znacznego powiększenia po ostatniej wojnie, obszar imperium rosyjskiego w

Europie objął narody o własnej tradycji historycznej i państwowej. Narody te — bez żadnego egocentryzmu wymienić należy ze względów historycznych, ludnościowych, ekonomicznych i geograficznych Polskę na czele — posiadają zgoła inną od rosyjskiego formację cywilizacyjną utrwalającą ich odrębność. Tym nowym nabytkom Moskwa przyznała pełną autonomię językową, samorząd lokalny i odpowiedzialność polityczno-gospodarczą w ramach ustalonych planów kilkoletnich. Istnieje nawet pewien elastyczny margines w sprawach gospodarczych i wewnętrznopolitycznych, szerszy dla narodów większych (Polska), wyższy zaś dla małych (Bułgaria). Margines ten z reguły nie obejmuje spraw zagranicznych, wojskowych, wielkiego przemysłu i zasadniczych spraw personalnych. Zmiany personalne w Moskwie i nieodłączne z tym w systemie sowieckim związane zmiany polityczne, mają swe natychmiastowe reperkusje w tych krajach i to w tej samej formie i treści co na Kremlu, to jest przesunięć personalnych i politycznych. Na tych obszarach podbitych, ale formalnie nie włączonych do imperium mamy do czynienia z tą samą doktryną polityczno-gospodarczą i z tą samą nadrzędnością wszystkiego co rosyjskie jak w Rosji samej, z tym że dawkowanie jest nieco wolniejsze, więc słabsze. Kreml bowiem uważał i uważa, że istnienie i rozwój tych narodów wewnątrz Związku Sowieckiego mogłyby mieć wpływ rozkładowy na spoistość polityczną i ideologiczną Rosji samej. Nie obawa przed powstaniem w Warszawie czy Budapeszcie, ale ryzyko perturbacji w Moskwie i Kijowie zmusza Kreml do pozostawienia — nawet strzeżenia — granic między Sowietami i narodami podbitymi.

Podstawy tej polityki zawarte były już w stalinowskiej doktrynie narodowościowej, opartej na haśle kultury narodowej w formie, a socjalistycznej w treści. Stosowana ona była w państwie sowieckim od lat 20, jedynie zakres jej uzależniony był i jest od okoliczności czasu i miejsca. Podlegał więc, jak wszystko w tym tragicznym królestwie dialektyki, najbardziej brutalnemu i ordynarnemu oportunizmowi.

W stosunku do kilkudziesięciu grup narodowych dawnego cesarstwa, Rosja Sowiecka pogłębiła i poszerzyła ich etnograficzną odrębność, przyznając im prawa językowe i nawet zalewając je słowem drukowanym w tych językach. Była to oczywiście literatura socjalistyczna (czytaj stalinowska) w treści. Prawo druku przyznane zostało również wspominkom historycznym tych plemion, oczywiście odnośnie takich bohaterów narodowych, którzy w Moskwie szukali ocalenia i wolności. Poza tym, jak w całej Rosji, rozwinięto na tych obszarach szeroką sieć szkolnictwa zawodowego, pilnując jednak starannie monopolu fakultetów administracyjnych, wojskowych i polityczno-ekonomicznych dla Rosji właściwej. Język rosyjski wszędzie i na wszystkich szczeblach obowiązkowy, przedstawiany jest jako międzynarodowy język socjalizmu, bez którego swobodnej znajomości niesposób jest być socjalistą. Nie znać rosyjskiego, znaczy więc być wrogiem własnej ojczyzny.

Polityka taka stosowana była ze szczególną energią wobec dwóch najliczniejszych i zarazem najbliższych rasowo grup: Ukraińców i Białorusinów. Dawne sformułowanie nacjonalizmu rosyjskiego „słowiańskie strumyki do rosyjskiej rzeki" uznano teraz za reakcyjne i zastąpiono postępowym hasłem „zjednoczenia bratnich narodów". Zeszłoroczne uroczystości 300-lecia zjednoczenia Mało i Wielkorusów zamknęły tę sprawę. Naród rosyjski przyznał narodowi ukraińskiemu zaszczyt mianowania się odtąd Rosjanami z dziada, pradziada. Zapewne niedługo, ale protokół moskiewski operuje w takich materiach latami, obchodzić będziemy kilkusetlecie „zjednoczenia Wielko i Białorusów, to jest dojrzenia ich do godności pieczętowania się sygnetem narodu rosyjskiego.

Sowiecki frazes internacjonalistyczny wyraża się zatem w praktyce:

1. W szerzeniu zalatującego rasizmem przekonania o misyjnym zadaniu narodu rosyjskiego i kroczących za nim (Polacy, Czesi) lub przy nim (Ukraińcy) Słowian w urzeczywistnieniu socjalistycznego świata;
2. W likwidowaniu odgórnym wszystkich sporów narodowych i przymusowym braterstwie narodów rządzonych przez naród rosyjski;
3. W najwszechstronniejszym podkreślaniu i rozgrywaniu tychże sporów narodowych na obszarach znajdujących się poza zasięgiem Moskwy.

Stary nacjonalizm rosyjski nie tylko nie został zastąpiony jakąś ideologią obywatela sowieckiego, ale od rewolucji dąży konsekwentnie do stworzenia sobie uprzywilejowanej nowej pozycji w formie ojczyzny socjalizmu. Od czasów Stalina Rosjanie nazywani być winni pierwszą brygadą szturmową socjalizmu i rewolucji, pierwszym narodem socjalistycznym itp. Ponadto od drugiej wojny światowej podkreśla się usilnie wyjątkową, „przodującą", rolę odegraną przez Rosjan w dziejach cywilizacji w ogóle, a nauk w szczególności.

Bolszewicki internacjonalizm ma tyle wspólnego z internacjonalizmem konstruktywnym, to jest tendencją zastąpienia nienawiści narodowych zrozumieniem i współżyciem między narodami, co moralność owego Murzyna sienkiewiczowskiego (jak Ali komuś ukraść krowę to dobrze, jak ktoś Alemu ukraść krowę to źle) z moralnością chrześcijańską.

O konsekwencjach tych zjawisk będzie mowa później. Trudno jednak nie zauważyć, że nawet w ramach sowieckich, czyli na obszarze gdzie od lat stosowane są te zasady, nie ma żadnych podstaw do przyjęcia, iż antagonizmy narodowe istniejące poprzednio zostały usunięte lub choćby stępione. Wydaje się przeciwnie, że przymusowe współżycie na stopniu podrzędności własnej wobec nadrzędności narodu rosyjskiego wywołało negatywne reakcje w stosunkach między tymi narodami a narodem rosyjskim, nawet w wypadkach gdy stosunki te poprzednio były jak najserdeczniejsze (Czesi, Bułgarzy).

Jakież tedy zmiany wprowadzili bolszewicy we współżyciu narodu rosyjskiego z jego bliskim otoczeniem.

1. Odrębności kulturalne narodów polskiego i czeskiego, że wymienimy je przykładowo, uznawane przez carstwo, uznawane nawet przez megalomanię panslawistyczną, nie są uznawane przez bolszewików. Stoją oni na stanowisku, że treścią kulturalną Polaków i Czechów winna być treść kulturalna Rosjan.
2. Odrębność narodowa Ukraińców i Białorusinów, zwalczana choć uznawana przez cesarstwo, została sprowadzona już nie tylko programowo, ale w rzeczywistości do praw tych ludów posługiwania się właściwymi im narzeczami języka rosyjskiego, jedynego autentycznego interpretatora wielkorosyjskiej kultury.
3. Wchłonięcie innych grup narodowych rozrzuconych po bezmiarze przestrzeni, z wyjątkiem może narodów bałtyckich i kaukaskich, wydaje się Kremlowi łatwiejsze drogą przez szkołę, wojsko, fabrykę czy sowchoz niż przez carską nahajkę. Moskwa uważała za konieczne uzupełnić postulat strachu przed Petersburgiem — także podziwem dla Moskwy. Uzbek czy Kirgiz winien bać się Moskwy dostatecznie, by nie być za bardzo Uzbekiem i podziwiać ją na tyle, by chcieć być Rosjaninem.

Narodowościowa doktryna bolszewików (konsekwentnie używamy tego słowa dla określenia komunizmu w wydaniu rosyjskim) nie zdobyła się, poza nieuniknioną a ogłuszającą frazeologią, na żadne konstruktywne rozwiązanie. Frazeologia ta już dzisiaj przyjmowana jest w świecie w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do bliskości Moskwy.

Nacjonalizm rosyjski nie został zastąpiony żadnym żywym człowiekiem sowieckim. „Człowiek radziecki" z filmu, powieści, malarstwa czy rzeźby jest Rosjaninem, głoszącym swą

wyższość kulturalną, swe pierwszeństwo cywilizacyjne w rodzinie socjalistycznej, przodującej postępowi świata, wytyczającej jego rozwój dziś, a decydującej o jego losie jutro. Takimi „radzieckimi ludźmi“ byli już Karamzin i Samarin, Nieczajew i Czadajew, Dostojewski i Gogol. Tacy „radzieccy ludzie“ zajmowali Berlin Fryderyka Wielkiego w XVIII w. i Paryż napoleoński. Ten „radziecki człowiek“ uwolnił Warszawę w 1945 r. i oswobodził Węgry. Znamy go od stuleci. To jest człowiek rosyjski.

PROBLEM SPOŁECZNY

Do czego zmierzali i co osiągnęli bolszewicy w staraniach usunięcia drugiej ważnej przyczyny słabości Rosji, likwidacji nędzy i głodu wywodzącego się ze wsi?

Socjalizm w Rosji został od początku postawiony na głowie. Nieistniejący w praktyce (bo stanowiący tylko ułamek ludności) proletariat miejski dokonał rewolucji przeciw nieistniejącym w praktyce (bo zaledwie kiełkującym) tak zwanym stosunkom produkcyjnym po to, by stworzyć takie stosunki (wielki przemysł) i samego siebie (prawdziwy proletariat).

Ironia losu chciała nadto, by sprężyną tej rewolucji socjalistycznej była marynarka wojenna stanowiąca chyba setny odsetek procentu ludności Rosji przedrewolucyjnej!

W Rosji, której brak było jakichkolwiek przesłanek gospodarczych niezbędnych zdaniem Marxa do obalenia kapitalizmu, dokonano rewolucji politycznej celem stworzenia tej superindustrializacji, która winna była być jej powodem gospodarczym. Ten grzech pierworodny socjalistów rosyjskich zaciążył nad całą historią bolszewizmu.

Prymat polityki nad ekonomią sformułowany był już przez Lenina, ale dopiero Stalin utrwalił go jako doktrynę budowy państwa socjalistycznego w kapitalistycznym otoczeniu. Stalin kładł nacisk na rzeczownik „państwo“ i stosował „dialektykę marksistowską“ jako wykładnik przymiotnika „socjalistyczne“. Również rzeczownik „otoczenie“ w drugiej części tego hasła-programu, miał dla niego nieskończenie wyższe znaczenie niż przymiotnik „kapitalistyczny“. Dlatego bolszewizm, ustrój jaki zapanował w Rosji w konsekwencji rewolucji październikowej, należy rozpatrywać jako zjawisko polityczne. Ideologia komunistyczna nazywana marksizmem-leninizmem-stalinizmem, jest jedynie kanwą, wypełnianą przez władców Kremla tą samą treścią polityczną jaką zawsze i wszędzie wypełniano władzę, to znaczy siłą. Nie tają tego zresztą bynajmniej. Nie było ani jednej ważniejszej wypowiedzi moskiewskiej nie wskazującej na konieczność istnienia i rozbudowy siły państwa sowieckiego. Skoro wszystkie inne hasła pojawiają się tylko sporadycznie, skoro podporządkowane są zadaniu naczelnemu siły państwa, jasne jest, że cała polityka gospodarcza i społeczna stanowi tylko drogę do tego celu wiodącą. Prymat polityki jest jedyną może tezą sowiecką sformułowaną szczerze i prawdziwie, nie podlegającą dialektyce i której bolszewizm jest wierny od początku.

Pozostawiając socjalistom łatwą, ale jałową polemikę z bolszewikami na temat niezgodności ich doktryny i taktyki z nauką Marxa, przyjmijmy po prostu, że obrali oni nowe, lepsze ich zdaniem, drogi do stworzenia z Rosji fortecy nie socjalizmu może, lecz imperializmu.

Tyle się pisało i wie o imponującym rozwoju przemysłu i kopalnictwa w Sowietach od czasów stalinowskich, że przyjąć można, iż każdy zdaje sobie sprawę z decydującego charakteru tego faktu dla siły i znaczenia Rosji. Jakkolwiek krwawe i brutalne były metody osiągnięcia tego celu, nie można przeczyć, że były skuteczne, na pewno skuteczniejsze od metod carskich. Naród rosyjski zmuszony został do dokonania olbrzymiego wysiłku i wysiłku tego dokonał bez jakiejkolwiek podniety materialnego zysku wyłączonej przez system sowiecki. Temu osiągnięciu zawdzięcza w dużej mierze zwycięstwo w wojnie z Niemcami i swą dzisiejszą pozycję w świecie.

Na przekór Marxowi — w Rosji, nie przemysł stworzył proletariat, ale proletariat stworzył przemysł. Zanim do budowy przemysłu przystąpiono, sproletaryzowano 4/5 Rosji. Trzeba bowiem 1/5 odliczyć na organizatorów, kierowników, wychowawców i żandarmów tego procesu. Jest to procent wysoki i niepewny. Fachowcy obliczają go dokładniej. Nie upieram się przeto przy cyfrze, ale upieram przy istnieniu klasy społecznej w Rosji, stylem i stopą życia odróżniającej się zdecydowanie od masy proletariatu wiejskiego i miejskiego. Jej istnienie przyznaje Moskwa w stale powtarzanym eufemicznym odwołaniu do „inteligencji pracującej“ w odróżnieniu od robotników i chłopów.

Jest rzeczą oczywistą, że warunki życiowe np. kolejarza sowieckiego, poddane normom pracy i stawkom, są inne niż inżyniera i generała lotnictwa. W zjawisku tym nie ma nic złego — my przynajmniej uważamy je za normalne — nie ma ono jednak nic wspólnego z zasadą „każdemu według jego potrzeb“ ani z zasadą „każdemu według jego pracy“. Jest to stara „kapitalistyczna“ zasada użyteczności pracy, której założeniem są zdolności indywidualne, czynnik całkowicie niezależny od ustroju państwa i nie mający nic wspólnego z „równością socjalistyczną“. W systemie bolszewickim istnieje cała skomplikowana hierarchia klasowa, wyznaczająca różnym zawodom różne stopy życia. Jest ona znacznie bardziej rygorystyczna niż w zachodniej Europie nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych i mnoży wielokrotnie ich ilość. W państwach demokratycznych istnieją oczywiście różnice stopy życiowej i stylu życiowego chłopa i kupca, robotnika i finansisty, ale zdarza się często, że bogaty chłop ma lepszą stopę życiową od kiepskiego finansisty, a robotnik wyższy styl życia od kupca. Warstwy te przenikają się i mieszają wzajemnie i nie stanowią już od dawna żadnych murów granicznych. O dyskwalifikacji społecznej nie ma mowy i krytykowanie kogoś z tytułu jego pochodzenia jest przywilejem matołków.

Sowiety są chyba jedynym państwem białych ludzi, w którym pochodzenie społeczne dyskwalifikuje z jednej, kwalifikuje zaś z drugiej strony. Prawie jak za czasów feudalnych, a identycznie z carskimi, pochodzenie burżuazyjne zamyka dostęp do stanowisk i urzędów zastrzeżonych dla nowej arystokracji, wychowywanej w tym celu w szkołach specjalnych, do których dostęp strzeżony jest snobistycznie. Szczeble sowieckiej drabiny społecznej wykute są z żelaza. Mundury, rangi („czyny“), kolory i gwiazdy czynią ją z daleka widoczną i ostrzegają jednych przed poufałością, a drugich przed poufaleniem. Całe imperium sowieckie roi się od gogolowskich rewizorów, a cała różnica polega na tym, że przyjeżdżają z Moskwy nie z Petersburga. Mania szufladkowania, klasowania ludzi jest niemniej drażniąca wewnątrz tej samej klasy i kategorii społecznej. Półrobotnicy, pół-urzędnicy obliczający normy i stawki brygad robotniczych, mają władzę dotkliwszą nad swymi towarzyszami, niż naczelny dyrektor jakiejkolwiek kapitalistycznej fabryki, nad którymkolwiek ze swych pracowników.

Jeżeli bolszewicy przez podział klasowy rozumieli różnicę między ludźmi posiadającymi jakąś własność i nieposiadającymi żadnej, to początkowo Sowiety były równie dobrze społeczeństwem bezklasowym, jak Stany Zjednoczone są nim stale. W Sowietach bowiem nikt niczego nie posiadał, w Stanach natomiast wszyscy są posiadaczami. Rzeczy jednak w Sowietach uległy zmianom i dziś klasa posiadająca w Sowietach istnieje, ograniczona jest jednak do grupy znajdującej się u władzy. Mikołaj I mawiał, że w Rosji ten tylko znaczy, do kogo on mówi i tylko tak długo, jak długo z nim mówi.

Czy zmieniło się cokolwiek pod tym względem? Między dygnitarzem posiadającym luksusowe mieszkanie w Moskwie, „daczę“ pod miastem, samochód, służbę i szofera, zastrzeżone sklepy i restauracje, a między robot-

nikiem kołchozu czy górnikiem z Samarkandy istnieje przepaść społeczna, materialna i kulturalna jakiej nie znajdzie się na Zachodzie. Bezklasowość społeczeństwa sowieckiego polega na oddzieleniu najniższego zawodu, robotnika niewykwalifikowanego, taką ilością klas społecznych w sensie stopy i stylu życia od egzekutywy politycznej i gospodarczej, by nawet najbardziej zadarwszy głowę nie był on w stanie ani jej dojrzeć, ani pojąć. Dowody jej istnienia znajduje on na każdym kroku życia, każda zaś książka czy gazeta, każde radio czy miting wskazują mu na partię jako jedyną drogę do tego Olimpu. Na tej drodze jakby słupy kilometrowe ustawieni są przez Moskwę sekretarze partyjni grupy, zakładu, miasta, powiatu, okręgu itd. aż do centralnego komitetu, pilnujący by nikt niepowołany nie zaszedł nią za daleko.

W ramach tej drabiny, na najniższych jej szczeblach ustawieni zostali chłopi. Pozbawieni własności, sproletaryzowani, wpędzeni jak bydło w zagrody kołchozów i sowchozów, wynagradzani według norm, są oni niewątpliwie robotnikami. Traktowani są jednak mimo to nadal jako klasa oddzielna i to klasa niższa. Winni oni „w sojuszu z klasą robotniczą i pod jej przewodnictwem“ zdobywać ostrogi proletariackiego szlachectwa.

Jeśli w Rosji przedrewolucyjnej „warunki produkcyjne“ nie odpowiadały metodom, to chyba właśnie w rolnictwie. Koncentracja własności miała tam charakter chorobliwy i milionowe masy chłopskie skazane były na nędzę i przymusowe bezrobocie. Chłopów zjednano dla rewolucji obietnicą podziału ziemi. W rezultacie kilkunastoletniej wojny z chłopami zwanej w historii bolszewizmu kolektywizacją, Kreml przywrócił statut prawny ziemi z okresu jeszcze mongolskiego, deklarując państwo jedynym jej właścicielem, a przyznając zbiorowym „obszczynom“, nazwanym kołchozami, prawo jej użytkowania.

Chłopi zostali przeklasowani z gospodarzy na robotników i poszufladkowani na dziesiątki zawodów, rang starszeństw i mistrzostw. Istnieją więc np. młodszy, starszy i mistrz oborowy, takie same dojarki, istnieje zasłużony i zwykły traktorzysta, istnieją młodsi, starsi i zasłużeni agrotechnicy. Ta groteskowo zróżniczkowana, ale tragicznie sproletaryzowana klasa jeszcze widocznie niepokoi bolszewików. Jeszcze jest im nie dość proletariacka, to znaczy bezsilna, bezwolna i bezosobowa. Ponieważ wieś nie wypełniała i nie wypełnia planów, a miasta to robią, trzeba zlikwidować w ogóle wieś, trzeba zamienić ją w miasto. Najnowszym hasłem sowieckim są „agro-grody“. W środku wielkich obszarów rolnych winny powstać miasta, których mieszkańcy zamiast do biur i fabryk udawaliby się co rano na pola!

Trzeba zidentyfikować pracę i życie chłopa z pracą i życiem robotnika fabrycznego skoro pierwszy nie jest zdolny do wykonania planów, drugi zaś jest. Ten kalambur brzmi tak: Wieś jest zła dlatego, że jest wsią. Jeśli zrobimy ze wsi miasto, to wieś stanie się dobrą wsią.

Jest coś głęboko tragicznego w zaślepieniu tych b. kowali, b. górników, b. urzędniczków, stanowiących kremlowskie politbiuro, w stosunku do chłopa, do wsi. Jest jakiś kompleks wyższości czy nieufności, czy nienawiści. Jest coś chorobliwego, coś barbarzyńskiego w fakcie nierozumienia różnicy między zaoraną miedzą, z której siewnik i kosiarka mogą wydobyć zboże, a cieleniem czy pomiotem, między chmurą gradową, a planem siewnym, między chorym źrebakiem, a zepsutym traktorem.

To co się robi i planuje w Rosji w dziedzinie rolnictwa jest decydującym dowodem bankructwa ideologii zmuszonej dziś otwarcie przyznawać, że jeśli doktryna sprzeczna jest z życiem tym gorzej dla życia.

Chłopi w Rosji carskiej dzielili się na zamożnych, średniozamożnych i nędzarzy. Tych ostatnich było nieskończenie więcej niż tych pierwszych. Wszyscy zaś byli brudni, ciemni i obojętni na to, co nie tyczyło ich bezpośrednio. Ta obojętność była główną przyczyną słabości wewnętrznej Rosji. Dziś już trudno mówić o chłopie rosyjskim. Około sto milionów proletariatu sowieckiego żyje na wsi z pracy rolnej. Nie są już ciemni i wiedzą, że w mieście jest lepiej. Wiedzą więcej znacznie niż ich ojcowie i nie są obojętni na wiele spraw. Zobojętnieli natomiast na to, co było jedyną troską ich ojców, na ziemię. Dlatego Rosja carska była krajem periodycznych głodów, a Rosja bolszewicka stała się krajem permanentnego głodowania.

M. E. ROJEK

WŁADZA PREZYDENTA STANÓW

PRZECZYTAŁEM niedawno w jednym z polskich emigracyjnych czasopism, że ukazała się broszura tłumacząca jakoby zasadniczym źródłem polskiej konstytucji kwietniowej ma być konstytucja amerykańska, oraz jakoby w konstytucji polskiej prezydent nie ma tak szerokich uprawnień jak w amerykańskiej.

Ponieważ studiowałem ostatnio konstytucję amerykańską na jednym z tutejszych uniwersytetów, więc postanowiłem skreślić na ten temat parę słów.

Przede wszystkim różnica między obu konstytucjami polega na całkowicie różnym określeniu, gdzie się znajduje, gdzie jest umieszczona, władza najwyższa. Konstytucja kwietniowa powiada, że w osobie prezydenta „skupia się jednolita i niepodzielna władza państwowa“.

Konstytucja amerykańska jest konstytucją ograniczonej władzy państwowej. Umyślnie nie stworzyła ona takich organów państwowych, w których skupiałaby się najwyższa, jednolita i niepodzielna władza. Chodzi nie tylko o tak dobrze znaną w koloniach i dyskutowaną zasadę podziału władz, czy też funkcji, Monteskiusza. Jest w konstytucji amerykańskiej coś więcej, niż zasada podziału władz.

Dziesiąta poprawka do konstytucji amerykańskiej, przyjęta w dwa lata po wejściu w życie konstytucji i razem z dziewięciu poprzednimi stanowiąca „Bill of Rights“, kodeks praw obywateli, powiada:

> „Władze nie delegowane Stanom Zjednoczonym przez konstytucję ani też nie zabronione przez nią samym stanom, zarezerwowane są bądź to tymże stanom działającym indywidualnie, bądź narodowi“.

Tak po anglosasku, bez wielkiego krzyku, została sformułowana zasada, że najwyższym suwerenem wedle konstytucji amerykańskiej jest naród rozumiany jako ogół obywateli.

Można do tego jeszcze dodać, że jeden z najświetniejszych umysłów amerykańskich epoki tworzenia konstytucji, Aleksander Hamilton, wyłożył w numerze 10 „Federalisty“, współczesnego komentarza konstytucyjnego, dziś uważanego za podstawowe źródło rozumienia konstytucji (obaj główni autorzy „Federalisty“, Aleksander Hamilton i James Madison, późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, należeli do Konwencji Konstytucyjnej, która ten dokument podstawowy po wyczerpujących debatach ułożyła i przedstawiła Kongresowi Konfederacyjnemu do przekazania do zatwierdzenia przez konwencje stanowe) następujący pogląd:

„Z trzech głównych organów federalnych najsłabszy jest Sąd Najwyższy: organ wykonawczy rozdziela stanowiska oraz dzierży miecz państwa; organ ustawodawczy dzierży kasę państwa — podatki, budżet i przydziały sum budżetowych; cóż pozostaje Sądowi Najwyższemu?". I tak odpowiedział czytelnikom Aleksander Hamilton (streszczam jego słowa): Sąd Najwyższy baczy, by konstytucja była ponad ustawą, czyli wola ludu ponad wolą wysłańców (the agents) ludu — wybieranych urzędników, senatorów i reprezentantów. Z tego wynika, ciągnął Hamilton, że Sąd Najwyższy nie jest osamotniony wobec innych organów rządu federalnego, gdyż za nim stoi władza całego narodu, wyższa od wszystkich innych władz.

W hierarchii więc konstytucyjnej amerykańskiej najwyższe miejsce należy się narodowi. Na tę zasadę można powołać się przed sądem i wygrać proces. Nieraz pojedynczy obywatel czy stronnictwa polityczne powoływali się na tę zasadę prawną i odpierali skutecznie w ten sposób zakusy szczególnie ambitnych i samowładnie nastawionych jednostek piastujących stanowiska urzędowe.

Może w tym miejscu najlepiej będzie postawić kropkę nad „i" i zacytować wstęp do konstytucji amerykańskiej:

> „My naród Stanów Zjednoczonych, w celu utworzenia bardziej doskonałego związku, ustanowienia sprawiedliwości, zabezpieczenia wewnętrznego pokoju, przygotowania się do wspólnej obrony, podniesienia powszechnego dobrobytu i zapewnienia błogosławieństw wolności nam samym oraz pokoleniom następnym układamy i ustanawiamy tę konstytucję Stanów Zjednoczonych".

Nie ma podobnego powołania się na naród jako źródło władzy w konstytucji kwietniowej, co tym bardziej jest wymowne, iż w konstytucji marcowej taka uroczysta w tonie i niedwuznaczna w swoim znaczeniu prawnym inwokacja była. Twórcy konstytucji kwietniowej nie przybliżyli się chyba do amerykańskiego systemu konstytucyjnego przez wyeliminowanie spośród zasad konstytucyjnych pojęcia suwerenności narodu.

Z kolei pamiętać należy, że w systemie amerykańskim, w systemie konstytucji pisanej, ograniczającej organy rządowe (inaczej, po cóż pisać konstytucje?) miejsce szczególne należy się samemu dokumentowi konstytucyjnemu. Powiedzieć można, że w Stanach Zjednoczonych powaga konstytucji odgrywa tę samą rolę co w Wielkiej Brytanii powaga Korony jako najwyższej instytucji narodowej. Częste były przykłady, kiedy jakaś wielka dyskusja o zagadnieniach publicznych toczyła się w Stanach Zjednoczonych nie dokoła pytania czy proponowane kroki są słuszne, czy nie, lecz dokoła pytania, czy są one konstytucyjne. Innymi słowy, twierdzenie, że coś jest konstytucyjne równoznaczne było z twierdzeniem, że to coś jest słuszne. I na odwrót. Ta postawa przetrwała do dni dzisiejszych.

Przy takim rozumieniu konstytucji amerykańskiej jasne się staje, dlaczego ona sama stanowi, że obowiązywać będzie po zatwierdzeniu jej nie przez legislatury istniejących w 1787 r. trzynastu stanów, lecz przez specjalnie do tego celu zwołane konwencje konstytucyjne w tych stanach.

Doktryna konwencji konstytucyjnych, jako ciał powołanych specjalnie do ułożenia lub zatwierdzenia konstytucji, od uczestnictwa w których wyłączeni są członkowie zarówno państwowych władz wykonawczych, jak i ustawodawczych, wyłożona została doskonale w uchwale zgromadzenia obywateli małego miasta Concord (którego mieszkańcy zresztą pierwsi odparli w 1775 r. karną ekspedycję wojskową angielską, zaczynając w ten sposób wojnę o wyzwolenie) w stanie Massachusetts z 21 października 1776 r. Uchwałę tę cytują wszystkie zbiory konstytucyjnych dokumentów amerykańskich. Oto jej główna część w tłumaczeniu polskim:

> „Uchwalone co następuje:
> „2. że najwyższa legislatura czy to obradująca wedle swojej właściwej kompetencji, czy też jako połączone komisje, nie jest bynajmniej ciałem stosownym do układania albo ustanawiania konstytucji albo formy rządu; dla przyczyn następujących. Po pierwsze, rozumiemy, że konstytucja wedle właściwego pojęcia zakłada system zasad ustanowionych w celu zapewnienia poddanym posiadania i używania praw i przywilejów przeciw jakimkolwiek pokuszeniom na nie ze strony części rządzących. Po drugie, ponieważ to ciało, jakie formuje konstytucję, ma z tejże przyczyny władzę zmienienia jej. Po trzecie, ponieważ konstytucja zmieniana przez najwyższą legislaturę nie daje żadnego bezpieczeństwa poddanym przeciw pokuszeniom na ich prawa albo przywileje ze strony części rządzących".

Uchwała powyższa odnosiła się do uchwalanej wtedy konstytucji stanu Massachusetts i była właściwie protestem. Obie izby istniejącej od początku kolonii legislatury lokalnej uchwaliły wtedy łączne zebranie się w „konwencję konstytucyjną". Ułożony jednak przez nie projekt konstytucji stanowej odrzucony został w głosowaniu ludowym. Obywatele najbardziej wtedy rozwiniętej politycznie kolonii uważali, że ci, którzy mają stosować konstytucję i których ona wiąże, nie mogą jej ustanawiać. Doktryna ta stała się częścią ogólnoamerykańskiego systemu politycznego.

Konsekwentnie więc autorzy konstytucji wprowadzili metodę zmieniania jej przez konwencje zarówno na szczeblu ogólnonarodowym, federalnym, jak i stanowym (poprawka do konstytucji musi przejść obie fazy), co prawda obok metody zmieniania konstytucji, również na obu szczeblach, przez izby ustawodawcze. Jeśli inicjatywa zmiany konstytucji wychodzi od Kongresu, poparta być musi większością kwalifikowaną dwu trzecich w obu izbach, za którą to zasadą zwykle idą konstytucje stanowe lub akty ustawodawcze powołujące do życia konwencje.

W praktyce więc konstytucję amerykańską jest bardzo trudno zmienić, czego najlepszym dowodem jest, że od czasu jej ratyfikowania przez konwencje stanowe w 1789 r. do tej pory uchwalono tylko dwadzieścia dwie poprawki, w żadnym wypadku właściwie nie naruszające zasadniczego zrębu konstytucji. Może trzeba podkreślić, że prezydent amerykański nie ma nic do powiedzenia przy zmianie konstytucji, a więc wręcz przeciwnie niż w konstytucji kwietniowej, w której prezydent ma bardzo wiele do powiedzenia (art. 80 konstytucji), a właściwie może w praktyce uniemożliwić taką zmianę konstytucji, jakiej sobie nie życzy.

Żeby nie cytować całego art. 80 konstytucji kwietniowej, może wystarczy tu podać, że do zmiany konstytucji z inicjatywy prezydenta wystarczy zwykła większość w obu izbach ustawodawczych, przy inicjatywie zaś sejmu lub rządu musi to być większość ustawowej liczby posłów i senatorów. Uchwała taka jednak może być zawetowana przez prezydenta w ciągu trzydziestu dni po jej powzięciu i ponowne jej rozpatrzenie może nastąpić dopiero na *następnej kadencji sejmowej*. A wreszcie po ponownym uchwaleniu zmiany prezydent może bądź ją podpisać i promulgować, bądź zarządzić rozwiązanie sejmu i senatu i wtedy cała gra zacząć się musi od nowa w myśl znanej ludowej zasady „w koło Macieju!".

Przypomnijmy tu główny wątek rozumowania: nad władzą prezydenta wedle polskiej konstytucji kwietniowej stoi tylko „Bóg i historia", nad władzą prezydenta wedle konstytucji amerykańskiej jest przede wszystkim naród, a następnie i sama konstytucja jako dokument określający, a więc ograniczający, wszystkie organy władzy.

Dalszym kolejnym ograniczeniem jest federalny charakter Stanów Zjed-

noczonych. Nie wdając się wcale w analizę rodzaju i stopnia federalności Stanów Zjednoczonych, powiedzmy tu, że każdy obywatel amerykański podlega dwu rządom, między które jest podzielona konstytucyjnie dozwolona władza rządowa. Skoro zaś jest ona podzielona, więc też żaden z tych rządów nie ma pełni nawet tej praktycznej władzy, niezarezerwowanej narodowi. I znowu nie wdając się w analizę, jak władza jest podzielona między rząd federalny i rządy stanowe (krótko: wszystkie pełnomocnictwa dotyczące spraw ogólnonarodowych udzielone zostały rządowi federalnemu, wszystkie dotyczące spraw nie wymagających załatwiania przez rząd federalny dane zostały rządom stanowym), zaznaczmy ogólnie, że chyba więcej niż połowa praw, ustaw, rozporządzeń i zarządzeń wychodzi od rządów stanowych. Cały system prawa prywatnego, prawo karne z wyjątkiem przestępstw zastrzeżonych judykaturze federalnej (np. zdrada stanu, przestępstwa na pełnym morzu itp.), cała rozległa dziedzina tego, co w każdym systemie prawnym określa się jako „policja", a więc bezpieczeństwo osób i mienia, porządek i pokój publiczny, zdrowie publiczne itp., cały samorząd gminny, powiatowy i miejski (a trzeba pamiętać, że lokalnej administracji kierowanej przez rząd centralny po prostu nie ma, że nie ma żadnych prefektów, oberpraesidentów czy wojewodów), wszystko to należy do rządów stanowych i w tej sprawie prezydent nie ma nic do powiedzenia.

I teraz dopiero dochodzimy do pozycji prezydenta w rządzie federalnym czy też centralnym.

Tu przede wszystkim stwierdzić należy, że w konstytucji kwietniowej prezydent jest zwierzchnikiem nie tylko rządu, lecz i sejmu, senatu, sił zbrojnych, sądów i kontroli państwowej (art. 3). Nic podobnego nie istnieje w Stanach Zjednoczonych. Prezydent ma sobie zleconą władzę wykonawczą, jako jedną z trzech władz rządowych. W pojęciu amerykańskim rządem zresztą nie jest wyłącznie władza wykonawcza, lecz także ustawodawcza i sądownicza. Części rządu stanowią także dwuizbowy Kongres i Sąd Najwyższy. Prezydent stoi tylko na czele administracji. Dwie inne władze rządowe są najzupełniej od niego niezależne. Zasada podziału władz jest przeprowadzona logicznie do końca. Wszystkie trzy władze zarazem uzupełniają się i hamują się nawzajem. Obowiązuje koncepcja „of checks and balances", wzajemnej kontroli i wzajemnego równoważenia się. Władze ustawodawcze i wykonawcze mogą działać tylko zgodnie. Jeżeli są niezgodne, a żadna z nich w danej sprawie nie jest wyłącznie kompetentna, nie może nastąpić żadne działanie państwowe. Sąd Najwyższy zaś pozostaje w tak wyniosłym odosobnieniu, że nawet nie udziela opinii prawnych prezydentowi lub Kongresowi. Sąd Najwyższy orzeka o konstytucyjności ustaw tylko wtedy, kiedy wydaje wyrok w sprawie procesowej. Gdyby Kongres oburzył się, że w ten sposób obalono mu ustawę, może próbować przeprowadzić swą wolę tylko już w formie zmiany konstytucji.

Nas interesuje tu najbardziej wzajemny stosunek prezydenta i Kongresu.

W Ameryce prezydent może tylko wykonywać te uprawnienia, jakie bezpośrednio mu daje konstytucja oraz poza tym ustawy uchwalone przez Kongres dawniej lub podczas danej kadencji. Znaczną część aktualnego zarządzania sprawami państwowymi wykonywa prezydent za zgodą Senatu lub Izby Reprezentantów.

Uprawnienia prezydenta wypływające z samej konstytucji i niezależne od Kongresu są dość rozległe, nie tak jednak rozległe jak w konstytucji kwietniowej. Prezydent amerykański jest naczelnym wodzem sił zbrojnych, ma prawo łaski w stosunku do osób skazanych za przestępstwa wobec Stanów Zjednoczonych (z jednym znamiennym wyjątkiem: nie ma prawa łaski w stosunku do osób skazanych w postępowaniu oskarżycielskim konstytucyjnym, tzw. impeachment, o czym niżej), wreszcie administruje całym aparatem wykonawczym federalnym w ramach konstytucji i obowiązujących ustaw.

Natomiast prezydent amerykański w przeciwieństwie do prezydenta polskiego z konstytucji kwietniowej, nie „stanowi o wojnie i pokoju" oraz nie zwołuje ani nie rozwiązuje izb ustawodawczych. Prezydent amerykański ma naturalnie prawo inicjatywy ustawodawczej, w postaci „zalecania" Kongresowi pewnych kroków ustawodawczych. Jeśli idzie o weto ustawodawcze, prezydent amerykański może skutecznie powstrzymać uchwalenie ustawy, pod warunkiem jednak, że stanowisko jego podzieli ponad jedna trzecia członków izb ustawodawczych. Pod tym względem nie ma istotnej różnicy między konstytucją amerykańską a kwietniową polską. Ale za to nie może być nawet mowy w Ameryce o wydawaniu przez prezydenta „dekretów z mocą ustawy", o których tak dużo mówi rozdział VI konstytucji kwietniowej. Kto by zadał sobie trud policzenia, ile w Polsce przedwojennej, po wprowadzeniu w życie konstytucji kwietniowej, wyszło ustaw, a ile dekretów prezydenta z mocą ustawy, zorientowałby się od razu, kto był właściwym ustawodawcą. Ta moja opinia może być tylko wzmocniona, jeśli się weźmie pod wagę sposób powoływania izb ustawodawczych wedle konstytucji kwietniowej i złączonych z nią ordynacji wyborczych.

Powiedzmy parę słów o ograniczeniu władzy wykonawczej w konstytucji amerykańskiej na jej własnym terenie przez władzę ustawodawczą. A więc prezydent Stanów Zjednoczonych przedkłada zawarte przez siebie traktaty międzynarodowe do zatwierdzenia Senatowi, przy czym wymagana jest większość dwu trzecich w głosowaniu. I prezydent nie mianuje jednej trzeciej senatorów, jak to ma miejsce w konstytucji kwietniowej. Wedle konstytucji kwietniowej prezydent zawiera i ratyfikuje traktaty sam, bez udziału izb ustawodawczych. Również musi mieć prezydent amerykański zgodę Senatu na mianowanie ambasadorów, sędziów Sądu Najwyższego i wysokich urzędników administracyjnych.

Duży wpływ na władzę wykonawczą ma też wedle konstytucji amerykańskiej, Izba Reprezentantów. Nie mam tu na myśli funkcjonowanie tej izby we właściwej jej dziedzinie ustawodawczej łącznie z Senatem, ani nawet jej pierwszeństwa w procedurze ustawodawczej, jeśli chodzi o ustawy podatkowe, będące podstawą budżetu. Chodzi mi natomiast o to, że Kongres amerykański trzyma rękę o wiele czulej na kasie państwowej, niż jakikolwiek parlament europejski, brytyjskiego nie wyłączając. Prawo budżetowe amerykańskie uległo dwu głębszym reformom od czasu pierwszej wojny światowej, które znacznie uprościły procedurę budżetowo-ustawodawczą, niemniej jednak Kongres nic z praw swoich nie uronił. W praktyce departamenty rządowe muszą bardzo szczegółowo wyjaśniać odpowiednim komisjom i podkomisjom izb ustawodawczych wszystkie pozycje budżetowe. Stąd to właśnie płynie wielki wpływ tych komisji i podkomisji na funkcjonowanie władzy wykonawczej.

Prawdą jest, że prezydent w sprawowaniu władzy wykonawczej nie jest zależny konstytucyjnie od Kongresu. Ministrowie, sekretarze kierujący głównymi działami administracji, są doradcami prezydenta i nie odpowiadają przed Kongresem politycznie, choć muszą dbać o względy Kongresu, gdyż potrzebują od niego zawsze pieniędzy, a często nowych ustaw. Z tej niezależności politycznej prezydenta od Kongresu nie wynika jednak, że prezydent nie jest odpowiedzialny politycznie lub nawet prawnie przed nikim. Politycznie prezydent odpowiada przed ogółem obywateli Stanów Zjednoczonych, gdyż mandat jego trwa tylko cztery lata. Pod tym względem jest głęboka różnica między konstytucją amerykańską a kwietniową polską. Poza tym prezydent amerykański może być postawiony w stan oskarżenia konstytucyjnego, w drodze postępowania zwanego impeachment. Wedle konstytucji amerykańskiej (artykuł drugi, sekcja czwarta) „Prezydent, wiceprezydent i wszyscy cywilni urzędnicy

Stanów Zjednoczonych złożeni zostaną z urzędu jeśli zostaną oskarżeni (impeachment) i przekonani o zdradzie, przekupstwie lub innych poważnych przestępstwach i wykroczeniach". Artykuł pierwszy, sekcja szósta, stanowi, że postępowanie przeprowadza i orzeczenie z oskarżenia impeachment wydaje Senat specjalnie w tym celu zaprzysiężony, większością dwu trzecich głosów. W wypadku, gdy oskarżony jest prezydent, przewodniczy Senatowi główny sędzia (chief justice) Stanów Zjednoczonych, czyli prezes Sądu Najwyższego. Oskarżenie z impeachment wnosi zawsze Izba Reprezentantów, a orzeczenie Senatu nie może wykraczać poza złożenie z urzędu i pozbawienie prawa piastowania stanowisk publicznych w zakresie federalnym. Oczywiście, po impeachment może mieć miejsce zwykły proces sądowy karny, który może zakończyć się wyrokiem skazującym.

Czyż można te amerykańskie przepisy porównać z artykułem 15 konstytucji kwietniowej, która stanowi:

„*(1) Prezydent Rzeczypospolitej za swe akty urzędowe nie jest odpowiedzialny*"?

Gdy się zważy, że od wieku XVII w świecie anglosaskim toczyła się walka o to, żeby rządy były odpowiedzialne i że w tej walce jeden król angielski dał głowę, drugi został pozbawiony tronu, a trzeci właśnie z tego powodu stracił dla Anglii kolonie amerykańskie, stanowiące dzisiaj najsilniejsze państwo świata, wtedy dojdzie się do wniosku, że sam już artykuł 15 konstytucji kwietniowej wystarczy, by nie porównywać tego dokumentu z konstytucją amerykańską. Ta bowiem wywodzi się w prostej linii z rozwoju angielskiej myśli politycznej w wieku XVII i wydarzeń wyżej wspomnianych oraz z filozofii prawa naturalnego.

Pozostaje sprawa wyboru prezydenta, bo rzecznicy konstytucji kwietniowej nieraz już usiłowali wmówić społeczeństwu, że ta konstytucja zastąpiła w Polsce francuski system wyboru prezydenta amerykańskim. Nic podobnego! Bez wdawania się w szczegółowy opis postanowień konstytucji amerykańskiej o wyborze prezydenta stwierdzę dwie różnice między systemem amerykańskim, a kwietniowym polskim:

1) Kandydatów do prezydentury wysuwa w Ameryce społeczeństwo, wedle konstytucji kwietniowej społeczeństwo nie ma tu nic do gadania.

2) Do głosowania w Polsce wedle konstytucji kwietniowej doszłoby tylko wtedy, gdyby zaszła różnica zdań co do kandydata między ustępującym prezydentem a tzw. Zgromadzeniem Elektorów. Czyli obywatele byliby powołani do wybierania między dwoma tylko kandydatami narzuconymi im z góry (artykuły 16, 17 i 18 konstytucji kwietniowej). Jest zresztą w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, aby nawet do takich tylko wyborów w Polsce doszło.

Do tych bardzo fragmentarycznych uwag porównawczych o władzy prezydenta wedle konstytucji amerykańskiej oraz kwietniowej polskiej dodam jeszcze, że amerykański ustrój państwowy byłby niepełny bez stronnictw politycznych. Właśnie system stronnictw zapewnia niezbędną łączność między społeczeństwem a państwem — jak to ma miejsce, na przykład, na konwencjach stronnictw zwoływanych w celu wysunięcia kandydatur na urząd prezydenta — oraz łączność polityczną między oddzielonymi od siebie konstytucyjnie władzą wykonawczą i ustawodawczą. Prezydent jest zawsze oficjalnym przywódcą jednego z dwu wielkich stronnictw politycznych, dzielących między siebie mandaty w Kongresie.

Na zakończenie dodam, że szkic niniejszy nie jest wykładem ani systemu konstytucyjnego amerykańskiego, ani kwietniowego polskiego. Nie stawia też żadnej tezy co do obiektywnej wartości społecznej czy politycznej systemu amerykańskiego. Natomiast stawia on tezę, że polska konstytucja kwietniowa nie ma nic wspólnego z amerykańską, a jeżeli kto tak twierdzi, ten albo nic o tych dwu konstytucjach naprawdę nie wie, albo usiłuje wprowadzić w błąd opinię publiczną.

(Nowy Jork)

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

ROMANTYCZNA POWIEŚĆ

Marya Kasterska: MIŁOŚĆ PRABABKI. Powieść z lat dawnych. Paryż 1954. Stron 336.

Bardzo przyjemna i porządnie zbudowana powieść z typu tych opowieści kobiecych opartych na klechdzie rodzinnej. Opowiada o romantycznej miłości młodziutkiej panienki ze dworu do ubogiego korepetytora, która pozornie trwała przez jedne wakacje, ale w rzeczywistości sięgnęła poza grób, przetrwała w sercu kobiety późniejsze małżeństwo, macierzyństwo, całe życie aż do grobu.

Postaci są wyraziste, żywe i prawdziwe. Atmosfera i język epoki dobrze oddane. Wadą jest pewna tendencja pedagogiczna: chęć nauczenia czytelnika jak najwięcej o literaturze. Wszyscy cytują poezje i poglądy literackie na każdym kroku, śpiewają pieśni patriotyczne lub ludowe, nawet na łożu śmierci deklamują. W każdym dialogu niemal powtarza się co kilka zdań „bo jak mówi...". Chwalebny skądinąd zwyczaj nie mówienia niczego od siebie, lecz wypowiadania się przez postaci jest doprowadzony do przesady. Czytelnik trafia na nową zupełnie sytuację, nie może jej zrozumieć, czekać musi na dialog, a w tym dialogu informacje o przeszłych wydarzeniach brzmią nieraz sztucznie jak opowieść gońca w greckiej tragedii.

Te wady faktury pisarskiej nie zmieniają faktu, że powieść p. Kasterskiej jest pełna wdzięku i stylu, a także bezpośredniości. Trudno się oprzeć wrażeniu, że to ona sama jest najmłodszą i ukochaną wnuczką romantycznej Wandy.

Marya Kasterska nie jest w literaturze nowicjuszką. Już przed pierwszą wojną światową wydała tomik poezji. Pierwszą jej powieścią, wydaną w okresie międzywojennym, było „Na zamku milczenia". Po francusku wydała legendy podlaskie, tłumaczone następnie na inne języki (m.i. na japoński), a po ostatniej wojnie opowieść o królowej Jadwidze („Les lys d'Anjou en Pologne"). Ponadto jest ona autorką dużej ilości studiów i artykułów, zarówno w prasie polskiej jak i francuskiej („La Croix", „Nouvelles Littéraires").

„GRABIEŻ I WIERNOŚĆ"

Jak się dowiadujemy, już w najbliższych tygodniach ukaże się nowa powieść angielska Jerzego Pietrkiewicza.

Wobec powodzenia „The Knotted Cord", które przetłumaczono już na duński i francuski, ta sama wielka firma wydawnicza Heinemanna przystąpiła do opublikowania drugiej powieści polskiego autora. Powieść ta jest również związana z tłem polskim, lecz zupełnie różna epoką, nastrojem i koncepcją od pierwszej.

Nosi ona tytuł „Loot and Loyalty" („Grabież i wierność"). Akcja jej dzieje się na początku siedemnastego wieku, głównie w Polsce i w Rosji, a centralną postacią jest Szkot, osoba autentyczna. Powieść nie ma charakteru romansu historycznego ani tzw. „vie romancée". Jest raczej ironiczną opowieścią, w której można się nawet doszukać analogii z naszym wiekiem. Konstrukcja jej jest wysoce oryginalna, a treść ma podbudowę w studiach historycznych i archiwalnych.

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO I SPOŁECZNEGO

POSIEDZENIE RADY JEDNOŚCI

Rada Jedności Narodowej obradująca w dniu 17 czerwca pod przewodnictwem prez. T. Bieleckiego, przeprowadziła debatę nad sprawozdaniem Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego obejmującym wyniki rozmów z gen. K. Sosnkowskim podczas jego ostatniego pobytu w Londynie.

W ożywionej i obszernej dyskusji nad sprawozdaniem przedłożonym Radzie przez przewodniczącego Egzekutywy dr R. Odzierzyńskiego zabierali głos pp.: M. Grażyński (Liga Niepodległości), Z. Stermiński (niezależny), M. Thugutt (Polskie Stronnictwo Ludowe — OJN), B. Kuśnierz (Stronnictwo Pracy — Zarząd Główny), J. Zdziechowski (niezależny), Z. Stahl (niezależny), Z. Podhorski (Grupa Społeczna), R. Piłsudski (PRW Niepodległość i Demokracja), W. Bruner (Polska Partia Socjalistyczna), W. Chomsowa (Stronnictwo Demokratyczne), prof. W. Folkierski (Stronnictwo Narodowe) i T. Dobrowolski (Stronnictwo Pracy — Komitet Zagraniczny).

W przemówieniach wyrażono opinię, że uzgodnienie poglądów w sprawach wewnętrznych przyczyni się do skutecznego przeprowadzenia jednolitej akcji polskiej w nadchodzącym ważnym okresie międzynarodowych konferencji, na których według wszelkiego prawdopodobieństwa wypłynie kwestia polska. Podkreślano szczególnie, że należy koncentrować główną uwagę i energię na zagadnieniach istotnych, czyli polityce międzynarodowej, a nie rozpraszać się w dialektycznych i personalnych sprawach wewnętrznopolskich. Wychodząc z innych założeń, niektórzy mówcy poddawali krytyce komunikat Egzekutywy z punktu widzenia, ich zdaniem, jego niedostatecznych sformułowań w zakresie zagadnień ustrojowych.

Po zamknięciu dyskusji Rada uchwaliła dużą większością (37 głosów za, 15 przeciw) wniosek zgłoszony imieniem pięciu klubów: Stronnictwa Narodowego, PPS, Ligi Niepodległości, Grupy Społecznej i Stronnictwa Demokratycznego. Uchwała brzmi:

„Tymczasowa Rada Jedności Narodowej przyjmuje do zatwierdzającej wiadomości sprawozdanie Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego dotyczące wyników rozmów z gen. K. Sosnkowskim w czasie jego pobytu w Londynie".

W dalszej części obrad Rada dokonała pierwszego czytania preliminarza budżetowego na okres od 1 lipca br. do 30 czerwca 1956 r. Rada dała pełnomocnictwa Egzekutywie czynienia wydatków w wysokości nie przekraczającej pozycji poprzedniego budżetu na okres trzech miesięcy.

Projekt budżetu zamyka się kwotą 20 tys. funtów, z czego większość wydatków przeznaczona jest na działalność międzynarodową oraz utrzymanie przedstawicielstw dyplomatycznych. Drugą największą pozycję stanowią wydatki na potrzeby kulturalne i oświatowe.

Ponadto Rada powzięła uchwałę upoważniającą Polskie Stronnictwo Ludowe — Odłam Jedności Narodowej do obsadzenia dalszych pięciu mandatów, póki nie zostaną one objęte przez inne odłamy ruchu ludowego w ramach pełnej reprezentacji przewidzianej dla głównych kierunków politycznych. Po powzięciu tej uchwały klub PSL — OJN złożył deklarację stwierdzającą, że zanim stronnictwo jego skorzysta z uprawnień tej uchwały, kieruje apel do Polskiego Stronnictwa Ludowego pod przewodnictwem p. Bańczyka, aby przystąpiło do Zjednoczenia i delegowało swych przedstawicieli do Rady, obsadzając wakujące mandaty ludowe.

W komunikatach Prezydium podano do wiadomości zmiany w składzie osobowym Rady. Na miejsce mec. O. Daniłłowicza z klubu Stronnictwa Narodowego wszedł mec. K. Harasimowicz.

W posiedzeniu po raz pierwszy wzięli udział przedstawiciele Stronnictwa Demokratycznego przyjętego niedawno do Rady.

KOMITET PRZEDSTAWICIELI EUROPY ŚRODKOWEJ

Po dłuższym okresie przygotowawczym odbyło się 10 czerwca w Londynie pierwsze posiedzenie komitetu Wolnych Przedstawicieli krajów Europy Środkowo-Wschodniej w Wielkiej Brytanii. W zebraniu wzięli udział przedstawiciele Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, Estonii, Jugosławii, Litwy, Łotwy, Polski i Rumunii. Skład delegacji przedstawiał się następująco:

Albania: A. Andoni, Q. Kastrati, A. Logoreci, T. Zavalanyi; Bułgaria: M. Dolaptchieff, J. Peyev; Czechosłowacja: K. Lisicky, J. Smutny, J. Stransky; Estonia: B. Nelberg, A. Rebane, J.Taul; Jugosławia: M. Gavrilović, P. Jevtić, K. Pavlovitch, S. Yovanovitch; Litwa: M. Bajorinas, J. Vilcinskas, S. Zymantas; Łotwa: A. Abakuks, J. Andrups, A. Alksnitis, P. Reinhards, K. Stradzins; Polska: A. Ciołkosz, R. Piłsudski, M. Sokołowski, J. Starzewski, Z. Stypułkowski; Rumunia: C. Bianu, G. Constantinescu, G. Jonescu.

Na zebraniu przyjęto statut organizacji, który stwierdza, że jej celem jest a) reprezentowanie ducha niezależności i demokratycznych idei krajów położonych między Niemcami a Rosją, b) wspólna praca zmierzająca do uwolnienia tych krajów, c) badanie form przyszłej współpracy krajów Europy środkowo-wschodniej w ramach zjednoczonej Europy.

Ustalono statutowo, że delegacje narodowe zwoływać będą kolejno co miesiąc zebrania komitetu. Zasadniczy referat polityczny wygłosił p. Starzewski, który też wybrany został generalnym sekretarzem komitetu na najbliższy rok. Ponadto wybrano komisję celem przygotowania wspólnego wystąpienia w związku z konferencją „wielkiej czwórki". Zebraniu przewodniczył p. Ciołkosz.

EGZEKUTYWA DO ZGROMADZENIA ONZ

Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego wysłała na ręce przewodniczącego Zgromadzenia ONZ w San Francisco z okazji 10 rocznicy powołania do życia tej organizacji depeszę następującej treści:

„Należne Polsce miejsce w Zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych jest nadal zajmowane przez przedstawicielstwo reżimu, narzuconego narodowi polskiemu przez Rosję Sowiecką. Komunistyczni rządcy Polski są dziś w tym samym stopniu marionetkami Rosji, co przed dziesięciu laty, gdy zostali uznani i dopuszczeni do ONZ. Zasady Karty Narodów Zjednoczonych nakazują przywrócenie wolności w krajach ujarzmionych w interesie międzynarodowego pokoju".

AKCJA W SPRAWIE 16

W dniach 18—21 czerwca przypadła dziesiąta rocznica procesu 16 przywódców Polski podziemnej przed sowieckim trybunałem w Moskwie. W związku z tym we wszystkich krajach wolnego świata wzmaga się akcja polska na rzecz uwolnienia z więzień pozostałych jeszcze przy życiu ofiar tej zbrodni.

Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego otrzymała ostatnio następujące sprawozdania: Związek Organizacji Polskich w Szwajcarii wystosował pismo do Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża na ręce p. P. Rueggera z prośbą o interwencję. Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża odniósł się życzliwie do tego postulatu i za pośrednictwem Ligi Stowarzyszeń Czerwonego Krzyża zwrócił się w sprawie uwięzionych przywódców Polski zarówno do władz moskiewskich, jak i do władz reżimu warszawskiego.

Konserwatywny poseł z Toronto D. Fleming wniósł w kanadyjskiej Izbie Reprezentantów interpelację w sprawie losu 16. Odpowiadając w zastępstwie nieobecnego ministra spraw zagranicznych Pearsona min. Martin złożył oświadczenie stwierdzające, iż Kanada jest żywo zainteresowana losem przywódców polskiego podziemia uwięzionych przez komunistów. Rząd, oświadczył dalej minister, wszczął kroki dla zbadania sprawy i oczekuje dalszych informacji.

W dniu 17 maja min. Martin przyjął w Ottawie delegację Kongresu Polonii Kanadyjskiej i Komitetu Akcji w Obronie Uwięzionych Przywódców w osobach płk S. Sznuka, M. Moszczeńskiej i dr I. Człowiekowskiego. Delegacja wręczyła ministrowi zbiorową petycję z tysiącami podpisów oraz książkę Z. Stypułkowskiego „Invitation to Moscow". Min. Martin potwierdził wobec delegacji zainteresowanie rządu kanadyjskiego losem ofiar procesu moskiewskiego i oświadczył, że zrobi wszystko, aby sprawę tę poruszyć na odpowiednim formu.

W następstwie dalszych interpelacji w parlamencie min. Martin oświadczył, iż rząd kanadyjski rozważa sprawę wysłania not do Moskwy i do Warszawy w sprawie uwolnienia przywódców polskich przetrzymywanych w więzieniu.

Prasa kanadyjska, włoska, hiszpańska, szwajcarska, szwedzka i innych krajów zamieszcza nadal wiele artykułów i notatek dotyczących losu aresztowanych przywódców polskich.

Konferencja Stronnictw Polskich w Stanach Zjednoczonych wystosowała do senatora Lodge, przewodniczącego delegacji amerykańskiej w ONZ, memoriał z żądaniem wniesienia sprawy uwięzionych przywódców polskich na porządek dzienny Zgromadzenia Ogólnego ONZ w San Francisco.

Gubernator stanu Rhode Island D. Roberts w ogłoszonej i rozplakatowanej odezwie domaga się od rządu Stanów Zjednoczonych poruszenia sprawy 16 na konferencji czterech mocarstw.

★

Adres Komitetu Akcji w Obronie Uwięzionych Przywódców: Z. Stypułkowski, 42 Emperor's Gate, London, S.W.7, England.

ZE SKARBU NARODOWEGO

W Milwaukee utworzono Komitet Skarbu Jedności Narodowej obejmujący swą działalnością cały stan Wisconsin. Komitet ukonstytuował się w składzie: kapelan ks. J. L. Betliński, prezeska Leona Wozińska, wiceprezesi Edmund Banasikowski i Leopold Sklenarz oraz wiceprezeska A. Nowak, sekretarz generalny Kazimierz Werner, sekretarz protokołowy Jerzy Brzeziński, sekretarz finansowy Edmund Konieczny.

★

Główna Komisja Skarbu Narodowego rozwiązała Komisję Skarbu Narodowego na Niemcy, powołując na jej miejsce Delegaturę Skarbu Narodowego. Na prezesa delegatury powołano inż. A. Ruebenbauera, z Ludwigsburga.

„MYSL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8. Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata: półroczna 18 s lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol. (opłata lotnicza do USA półrocznie 1.50 dol., rocznie 3 dol.)

Printed for „Myśl Polska" by Gryf Printers (H. C.) Ltd., 171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11, tel. BAT 0879.